

# Krzepkowski, Mieczysław

---

## "Ostatnie Wiadomości" (ze wspomnień)

---

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 9/2, 279-293

---

1970

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MIECZYŚLAW KRZEPKOWSKI

## „OSTATNIE WIADOMOŚCI”

(ZE WSPOMNIENIŃ)\*

W Szkole Dziennikarskiej byłem kolegą Stanisława Świsłockiego. Był bliższy raczej prasie tzw. żargonowej, jak powszechnie wówczas określało się prasę w języku jidysz. Być może, że Świsłocki znał również hebrajski. Pewnego razu zwrócił się do mnie, nie wiem, czy z własnej inicjatywy, czy za czyimś podszeptem, czybym nie objął redakcji dziennika, który ma powstać. Powiedział mi, że kilka osób, przeważnie Żydów, złożyło odpowiedni kapitał, a że pismo codzienne może dać poważny dochód, pod warunkiem, że zdobędzie popularność, chcą zaryzykować. Właściwie pro-

---

\* Publikowany fragment wspomnień Mieczysława Krzepkowskiego dotyczy dosyć interesującego fragmentu dziejów prasy II Rzeczypospolitej. Oto wydawnictwo „Hajnt” — Noach Finkelstein i Samuel Jackan (w 1934 r. zmienione na Spółdzielnię Wydawniczą Alt-Naj), założone w 1908 r. i wydające w omawianym okresie dwa wysokonakładowe dzienniki w języku jidysz („Hajnt” — 45 tys. egz. i „Hajntige Najes” — 52 tys. egz. w 1938 r.), związane bezpośrednio z międzynarodowymi ugrupowaniami syjonistycznymi, decyduje się na utworzenie dziennika w języku polskim. Jak można sądzić z jego treści, przeznaczonego przede wszystkim dla polskiej, a nie żydowskiej publiczności. Być może, a sprawę tę wyświełić mogą tylko dalsze badania, wchodziły tu w grę względy konkurencyjne lub polityczne, gdyż w Polsce wychodziło kilka dzienników żydowskich (w tym także syjonistycznych) w języku polskim. Najbardziej znane z nich to warszawski „Nasz Przegląd”, lwowska „Chwila” i krakowski „Nowy Dziennik”. Być może jednak chodziło po prostu o inicjatywę mającą głównie cele finansowe — stworzenie taniej, masowej gazety, która by dawała pokaźne dochody właścicielom, i wykorzystanie polskiego rynku czytelniczego, znacznie większego niż żydowski. Do takiego wniosku zdaje się skłaniać autor wspomnień. Charakterystyczne jest też, że próbę tę podjęto w okresie trwającego jeszcze ożywienia ekonomicznego (rok 1929) oraz że była ona zbieżna z początkowym okresem koncentracji prasy codziennej w Polsce (m. in. rozwój „koncernu” Mariana Dąbrowskiego, „Domu Prasy” SA, Wydawnictwa „Republika”). „Ostatnie Wiadomości”, o których pisze M. Krzepkowski, odniosły poważny sukces wydawniczy, osiągając 100 tys. egz. nakładu. Ze względu na znaczenie „Ostatnich Wiadomości” jako szeroko oddziaływającego pisma redakcja uważa za wskazane opublikowanie tych wspomnień.

Redakcja

wadzić pismo będzie on, Świsłocki, ja jednak nie będę „redaktorem od siedzenia”, ale obejmę jakąś funkcję redakcyjną, kierownika działu czy sekretarza redakcji, byłem wyraził zgodę na podpisywanie owego dziennika. Zapewnił mnie, że nie grozi mi z tego tytułu kryminal, bo pismo będzie informacyjne, lokalne i nikogo nie będzie zaczepiało.

Nie żywiłem żadnych przesądów antysemitycznych. Uważałem Świsłockiego za zdolnego człowieka, a w dodatku dawał mi szansę uzyskania stałej pracy w dzienniku, zapisania się do Syndykatu Dziennikarzy Warszawskich, gdzie warunkiem przyjęcia była stała praca w dzienniku. Zgodziłem się. Było to w 1929 roku.

Załatwiłem formalności zarejestrowania pisma. Poznałem przy tym dyrektora „wyznaczonego” przez grupę wydawców — Lebenbauma. Powstała Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością „Prasa Popularna”. Do Spółki wchodził nie znani mi wówczas: Finkelstein, właściciel kina „Atlantic”, Goldberg, jak się później dowiedziałem — współwydawca „Hajnta”, i jeszcze jacyś, których nazwisk nie pamiętam. Po załatwieniu formalności gdzieś w październiku czy listopadzie przyszło wyczekiwanie, które zresztą nie zmuszało mnie do porzucenia pracy ani w „Płomyku”, ani w „Przeglądzie Wieczornym”.

Świsłocki zapowiedział, że na parę dni przed wyjściem gazety wyda się prospekt, coś, czego jeszcze w prasie polskiej nie było: całą kolumnę sensacyjnej powieści i szereg niecodziennych zapowiedzi. I właśnie w końcu 1929 r. taki prospekt ukazał się w wielkim nakładzie. Rozdawali go chłopcy w najruchliwszych punktach Warszawy. Wychodziłem właśnie z „Qui pro quo” i na rogu ul. Senatorskiej i pl. Teatralnego chłopiec wetknął mi dwustronnie zadrukowany arkusz.

Świsłocki nie uznał za potrzebne zawiadomić mnie o wypuszczeniu prospektu. Z dużym niepokojem przeczytałem pierwszy odcinek powieści, w którym nie brakowało błędów językowych. Była to — jak się okazało — przeróbka odcinkowej powieści z francuskiego dziennika „Matin”. Z tegoż dziennika wzięto również nowelę *Z tysiąca i jednej nocy*. I powieść, i nowela były znakomicie zaczęte, zmuszały czytelnika do zaciekawienia — co dalej? — i przerwane w miejscu, kiedy zaciekawienie doprowadzone było do maksimum.

Jedną z sensacji była zapowiedź działu nie spotykanego w prasie polskiej: „W cztery oczy” — intymne rozmowy z czytelnikami. Listy do redakcji praktykowano od dawna, ale intymna spowiedź na łamach dziennika i odpowiedź redakcji w postaci życzliwej rady to było coś nowego. Nie był to naturalnie wymysł redakcji, lecz również naśladownictwo prasy zachodniej, konkretnie amerykańskiej, łącznie z dosłownym tłumaczeniem tytułu działu „W cztery oczy”, zaczerpniętego z „Hajnta”, wydawanego w Nowym Jorku! Ponadto prospekt zapowiadał także inne działy:

z zagranicy, miejski, sportowy. Wszystko napisane było językiem prostym, chociaż nie bezbłędnym! Na prospekcie figurowało moje nazwisko jako redaktora, a nie „redaktora odpowiedzialnego”, jak to było wówczas w zwyczaju. Brak słowa „odpowiedzialny” nie osłaniał mnie przed odpowiedzialnością. Nie byłem jednak kimś, kto by miał ponosić tylko odpowiedzialność prawną. Czułem się odpowiedzialny również za błędy językowe, które wskazywały, że autorzy nie władają dobrze językiem polskim. Postarałem się jak najszybciej zobaczyć ze Świsłockim i zażądałem materiałów do wglądu. Zgodził się. Już chyba tego samego dnia znalazłem się w redakcji przy ul. Siennej 33.

Była tam niewielka, tania drukarnia Narodowej Partii Robotniczej, nad którą czuwał Kwieciński, działacz tej partii. Drukarnia mieściła się na parterze i w piwnicy. Na parterze znajdowała się zecernia w dużej sali, tak ciemnej, że nawet w dzień trzeba było palić światło. W piwnicy stała maszyna rotacyjna, wiekowy gruchot, który sprawnie działał dzięki znakomitemu maszyniście Rowińskiemu. Ponadto mieściła się tam gisernia, chyba jedna z najdawniejszych w Polsce: metal topiło się w kotle, następnie czerpało się go łyżką i wlewało do przyrządu odlewniczego. Wymagało to dużej wprawy i wyczucia temperatury metalu. Naprzeciw wejścia z podwórka-studni mieściła się klinka bez okna, przerobiona na administrację. W niej siedziała panna Roma Jackanówna i szczupły, miły pracownik Goldblum. Na prawo były drzwi do redakcji: duży pokój z kilkoma stołami. Dalej, przez przedpokój, dochodziło się do małego pokoiku, który z początku zajmował dyrektor Lebenbaum.

Z kolegów pamiętam Jana Przygonię-Kryńskiego, który zajmował się przede wszystkim korektą, Mieczysława Górkę (dział sportowy i miasto), Benedykta Heidenkorna (sprawozdawca parlamentarny), Henryka Lińskiego (sprawy zagraniczne, „W cztery oczy”, powieści), Feliksa Rosenbauma (felieton). Teatr miał omawiać sam Świsłocki z żoną. Ja wziętem się za adiustację materiałów, zwłaszcza pisanych przez samego Świsłockiego i Mieczysława Górkę.

Sielanka w redakcji trwała parę dni: Świsłocki zainicjował „bunt redakcji” i chciał przejąć po prostu pismo. O ile sobie dziś przypominam, jakiś pretekst znalazł. Bodaj był nim fakt, że złożone przez współników pieniądze nie były wcale ruszone. Zaslugę powodzenia pisma Świsłocki przypisał sobie, pomijając pomysłowość twórcy koncepcji pisma, którym był Jackan, o czym niżej.

Dziennik z miejsca zapowiadał pokupność. Dokonała tego nowa forma reklamy, sensacyjnie zaczynająca się powieść obyczajowa oraz dział „W cztery oczy” i inne zapowiedzi — wszystko rzucone na Warszawę w 100 tysiącach egzemplarzy. Świsłocki przemówił do pracowników redakcji, by stanęli po jego stronie. Nie była to gra *fair*. Przeciwwstawiłem

się temu. Po mojej stronie stanęli: Kryński, Felek, Heidenkorn. Świsłocki odszedł z redakcji, zabierając tylko młodszego brata Górki i swoją żonę. Wkrótce też założył na własną rękę nowy dziennik 10-groszowy "5-ta rano". Pismo usiłowało przybrać cechy dziennika polskiego, ale to się nie udało. Trzymało się dzięki nadludzkiej wręcz pracy samego Świsłockiego, który „orał” również żoną, wyzyskiwał, jak mógł, pracowników, a do pracy „zaprzęgał” przeważnie kandydatów do zawodu, którym płacił po kilkadziesiąt złotych miesięcznie. Jeden tylko poważniejszy dziennikarz podjął u niego pracę — Jacek Frühling, jako sprawozdawca teatralny.

Świsłocki utrzymał pismo do wybuchu wojny. Znalazł się następnie w Izraelu. Bodajże długi czas miał do mnie urazę, że nie poparłem go w akcji, której nie uważałem za uczciwą. Wówczas poznałem ukrytego dotychczas starannie za kulisami wydawnictwa — jego główną sprężynę, natchnienie i kierownika: Jackana, redaktora naczelnego „Hajnta”. Ujawnił go sam Świsłocki może dlatego, że spodziewał się z mojej strony jakiegoś negatywnego stosunku do Jackana. Bardziej dokładnie wtajemniczył mnie co do osoby Jackana — Lebenbaum, żywiący kiepsko maskowany głęboki szacunek dla tego wybitnego dziennikarza. Mówił mi, że właśnie Jackan i grono ludzi z nim związanych, wydawców warszawskiego „Hajnta”, paryskiego i nowojorskiego, postanowiło wydawać pismo, żeby trochę zarobić pod koniec życia i spocząć na laurach. Warszawski „Hajnt” pokrywał deficyty paryskiego, nowojorski jakoś się utrzymywał sam. Złożono parę tysięcy dolarów do spółki i postanowiono wydawać pismo popularne dla mas, bo w Polsce było jeszcze wielu ludzi, którzy gazety do rąk nie brali, a przede wszystkim służące, żony rzemieślników, niewykwalifikowani robotnicy i robotnice. Pomysł i koncepcję pisma właśnie dał Jackan.

Jackan należał do dużej grupy Żydów, która albo nie wiązała się wcale, albo minimalnie ze społeczeństwem polskim. Jackan był typem kosmopolity. Corocznie wyjeżdżał do Paryża, gdzie przebywał za każdym razem wiele miesięcy, i podobnie długo bywał też w gościnie w Stanach Zjednoczonych. Zawsze starannie ubrany przez zagranicznych, chyba paryskich krawców, w pięknych miękkich kapeluszach. Miał twarz z cechami wschodnimi, jakby chińską. Niewielkiego wzrostu, powelny w ruchach, o ile się czymś nie zdenerwował, mówił z pewnym trudem po polsku, ale starał się o jak największą poprawność. Władał dobrze francuskim, a bodaj także i angielskim, oczywiście także jidysz, w którym pisywał i redagował gazetę, i hebrajskim. Wątpię, czy był gorącym wyznawcą swej religii, ale dbał o pozory, pamiętając, że przewodzi tysiącom ludzi, prostych fanatyków. Nie chciał też, aby ktokolwiek dowiedział się, czy w masach żydowskich, czy w społeczeństwie polskim, że ma coś wspólnego z wydawnictwem w języku polskim.

Sam Jackan i jego „Hajnt” był atakowany przez zachowawczych Żydów. Zarzucano mu wprowadzanie pornografii i sensacji do prasy żydowskiej. Nie potrafię powiedzieć, w jakim stopniu zarzuty były słuszne, a może kryła się za tym zwyczajna zawiść wydawców pism hebrajskich, których nakłady bardzo się skurczyły, kiedy weszła na rynek prasa w języku jidysz, za której twórcę uchodził Jackan.

W życiu osobistym Jackan nie był szczęśliwy: jego żona była ciężko chora. Często przebywała w jakimś zakładzie leczniczym, najczęściej chyba we Wrzesinie pod Pruszkowem. Co było przyczyną choroby, nie wiem. Zdążyła przedtem urodzić pięć córek. Ze względu na matkę nie trzymały służącej, wszystko robiły same i opiekowały się matką wówczas, kiedy następowały okresy poprawy i zabierały ją do domu.

Nic zrazu o tym nie wiedziałem, kiedy zostałem zaproszony do domu Jackana przy ul. Ogrodowej 8 na II piętrze. Wprowadziła mnie jedna z córek, którą już poznałem w administracji, do niewielkiego pokoiku, skromnie umeblowanego. Stało tam biurko, jakieś dwa fotele i parę krzeseł, szafa biblioteczna, której wewnątrz zasłonięte było firanką, i chyba nic więcej. Na ścianach może były jakieś dwa obrazy, raczej w ponurym nastroju, chyba coś z życia diaspory.

Jackan zrobił na mnie dobre wrażenie, myślał, a potem mówił. Krótko wyjaśnił, że uważa stanowisko Świsłockiego za niesłuszne. Przecież on sam też czerpie z obcych wzorów, przede wszystkim francuskich. Ale te wzory trzeba umieć przenieść na inne podłoże. Nie można tłumaczyć powieści z „Matina”, ale trzeba je dokładnie przerobić, aby były bliższe czytelnikowi polskiemu. Pytał, czy Henryk Liński, pracujący w prasie polskiej, zna język polski tak, że jego teksty nie wymagają poprawek. Nie chodzi o wykwintny język, lecz o potoczny. Powiedziałem, że niektórzy z zaangażowanych kolegów-Żydów popełniają charakterystyczne błędy językowe, ale będzie się ich poprawiało. Omówiliśmy poszczególne działy.

Jackan miał ogromne wyczucie „masowego czytelnika”. To był odpowiedni redaktor dla pisma popularnego: znał metody operowania seksem i sensacją, metody, które poznał na Zachodzie. Słuchałem go z wielką uwagą i dużym zaciekawieniem.

Praca potoczyła się. Z Jackanem widywałem się rzadko. Zostawiał mi coraz więcej swobody. Ale wiedziałem, że czuwa. Nie zbywało i mnie na pomysłach. Wprowadzałem je w życie i nie było wypadku, by Jackan zaprotestował, by mu się coś nie podobało. Kładł tylko nacisk na sensację. Tłumaczył to zresztą, chyba słusznie, ograniczonym światem tych ludzi, którzy nie czytali dotychczas gazet.

A więc przede wszystkim organizowałem różne konkursy. Największe powodzenie miał konkurs-ankieta, który uprzednio uzgodniłem z Jacka-

nem, pt. „Moja pierwsza miłość”. Czytelnicy mieli się zwierzać ze swych przeżyć. Posypały się setki listów! Konkurs był z nagrodami, a niezależnie od tego wiele z tych zwierzeń drukowaliśmy, płacąc honorarium, o ile autor podał nazwisko i adres. To był nadzwyczajny materiał socjologiczny. Niektóre z tych zwierzeń były materiałem na znakomite nowele, trzeba było je tylko zaadiustować, a niektóre poprawić stylistycznie i gramatycznie. Staralem się nie zniekształcać tych zwierzeń. Do dziś pamiętam, że niektóre były wręcz wstrząsające, jak np. miłość jakiegoś szewczyka w małym miasteczku do dziewczyny zamożnych rodziców, kokietki. Chłopak rzucił się pod pociąg. Obcięło mu nogę! Nie pamiętam po tylu latach wszystkiego dokładnie, ale do dziś tkwi we mnie atmosfera tego obszernego, kilkudziesięciostronicowego listu!

Wielkim powodzeniem cieszył się konkurs pt. „Kto chce zostać bohaterem powieści?” Kandydaci mieli nadsyłać krótkie życiorysy. Przesłano co najmniej kilkaset. Z nich wybraliśmy jeden — morfinistki. Kobieta, jeszcze młoda, dostała się do więzienia za fałszowanie recept na morfinę. Morfina zwichnęła jej życie, zrujnowała w poważnym stopniu zdrowie. Ona opowiadała, a ja pisałem, oczywiście starając się o „odcinkowość”. I ta powieść miała powodzenie. Pisałem też i inne powieści, trzymając się pewnych zasad, ustalonych zresztą od dawna przede wszystkim we Francji, gdzie Dumas i Sue święcili triumfy wraz z dziesiątkami innych autorów.

Zasady były niezwykle proste, ale chyba niezawodne: już w pierwszym odcinku powinno być postawione pytanie. Niekoniecznie musiało to być: „kto zabił?” czy „obrabował?” — jak w normalnym kryminale. Raczej nawet nie: w kryminałach lubuje się tylko część czytelników. O wiele skuteczniej było postawić jakiś problem psychologiczny, społeczny, moralny, którego nie można rozstrzygnąć prostym potępieniem lub pochwałą. Okoliczności problemu nie mogły być też zbyt skomplikowane. Ot, choćby taka prosta sprawa: zdenerwowana matka (czy rodzina) wypędza córkę z domu. Od razu ujawnia się mnóstwo pytań: dlaczego matka była zdenerwowana, czy córka zawiniła istotnie lub pozornie, co zrobią obie, i matka, i córka, itd. W powieściach odcinkowych należało brać jak najbardziej aktualne problemy. Dalej akcja powinna się być rozgrywać najlepiej w mieście dobrze znanym, a przynajmniej w kraju. Czytelnicy powinni mieć możliwość zobaczenia ulic, domu, gdzie się ona rozgrywa. Autentyzm miejsc jest rzeczą bardzo ważną i wówczas, kiedy akcję przenosi się chwilowo, czy na pewien czas, na inny teren. W powieści powinna wystąpić „uciśniona niewinność”, najlepiej młoda kobieta czy szlachetny człowiek, przeciwko któremu występują źli ludzie i złe moce.

Akcja powinna się toczyć w czasie możliwie bliskim. Sprawy odległe, pokryte patyną czasu, wyjątkowo chwytają problemem, częściej sensacyj-

nością. Ideałem było opisywać wydarzenie wczorajsze, wplecione w odcinek dzisiejszy! Powieść musiała mieć wyraźnie odcinkowy charakter: dziś w odcinku powinno się znaleźć rozwiązanie problemu postawionego wczoraj, czy powinno się odpowiedzieć na zadane wczoraj pytanie; w końcu odcinka musi się znaleźć kwestia skłaniająca czytelnika do kupienia następnego numeru.

Jak widać z tych uwag, nie była to literatura, lecz typowo dziennikarska robota. Nie bardzo to rozumieli nasi wydawcy i redaktorzy. Brali powieść lepszą czy gorszą i cięli ją dowolnie na odcinki. Dobra odcinkowa powieść nie nadaje się bez przeróbek do wydania książkowego! Nawet wielu autorów, piszących powieści do gazet, nie umiało właściwie ocenić tego rodzaju twórczości dziennikarskiej. Henryk Liński, niezwykle pracowity człowiek, świetny poliglota, przerabiał powieści francuskie jak rzemieślnik. Ale do dobrych powieści odcinkowych trzeba czegoś więcej niż zdolności rzemieślniczych.

Wspólnie ze Zdzisławem Wójtowiczem próbowaliśmy pisać powieść współczesną pt. *Szukamy Anieli*. W gazecie pojawiło się najpierw ogłoszenie, że młody człowiek, zrozpaczony odejściem ukochanej, przebacza wszystko, byleby wróciła. Ale owa „Aniela” nie tylko odeszła, ale i zniknęła! Zaczynamy jej szukać, zdając relację z poszukiwań w gazecie. Odwiedzamy lokale i miejsca pracy. Sugestia drukowanego słowa sprawia, że znajdujemy ludzi podających swoje nazwiska i adresy, którzy widzieli Anielę! Idziemy trop w trop. Jesteśmy na poczcie, w PKO, w fabryce, na kolei. Zewsząd reportaże i wplecione w nie nawet drobne wypadki, drobne aktualne wydarzenia wczorajsze. Zaciekawienie rośnie. Wreszcie łączymy pogniewanych i tu... najtrudniejsza sytuacja! Przychodzą ludzie do redakcji z żądaniem, by im podać datę i miejsce ślubu. Ba, jakiś oddział pewnego związku pracownic zakupuje prezent ślubny! Trudno udawać ślub! Wybrnęliśmy z kłopotu, przenosząc ślub — zgodnie z życzeniem młodej pary — na prowincję.

Tego rodzaju powieść w połączeniu z reportażem, jak najbardziej spleciona z aktualnością, mogła liczyć na największe powodzenie.

Elementem, który wnet zaważył na ogromnym wzroście nakładu (przekroczył sto tysięcy egz.), rzecz nieprzeciętna w międzywojennych stosunkach wydawniczych — były premie.

Najpierw parę słów o nakładach. W latach trzydziestych wyodrębniły się trzy kategorie dzienników: 20-groszowe, 10-groszowe i 5-groszowe. 20-groszowe to były pisma „poważne”, jak „Gazeta Polska”, „Robotnik”, „Kurier Warszawski” (wydanie wieczorne), „Polska Zbrojna”, „Kurier Poranny”. Nakłady tych pism nie były wielkie. „Gazeta Polska”, o ile mnie pamięć nie myli, nie wiem, czy dociągała 20 tysięcy, „Kurier Warszawski” oscylował między 50 a 60 tysiącami! Krakowski „Ilustrowany



„Kurier Codzienny” miał wyjątkowo duży nakład — jedyna dwudziestogroszówka, która dociągała 200 tysięcy, a niekiedy przekraczała ten nakład! Pismo to czytane było w całej Polsce. „Robotnik” również nie miał wielkiego nakładu i stale chyba cierpiał na deficyt. Dr J. Maliniak, długoletni dyrektor wydawnictwa, twierdzi, że z wszelkimi mutacjami „Robotnik” dociągał do 60—70 tysięcy. Wychodziło tych mutacji kilka pod różnymi tytułami, ale w owych czasach kryzysowych miały one nakłady niewielkie. Pismo 20-groszowe, aby pokryć wydatki najskromniejsze, musiało drukować ze 30 tysięcy egzemplarzy dziennie. „Kurier Poranny”, po odebraniu go Fryzemu, wychodził w nakładzie dochodzącym chyba do kilkunastu tysięcy.

Najwięcej było pism 10-groszowych, przeważnie „popularnych”, reprezentujących wszystkie barwy polityczne od ONR-owskich („ABC — Nowiny Codzienne”), przez prawicowe („Wieczór Warszawski” i „Goniec Warszawski”), sanacyjne czerwoniaki („Express Poranny”, „Kurier Czerwony”, „Dzień dobry”), do obojętnych informacyjnych („Ostatnie Wiadomości”), czy mieszczących się na lewicy („Dziennik Powszechny”, „Dziennik Poranny”, „Dziennik Popularny”, „Wola Ludu”) itd. Część tych pism miała niskie nakłady („ABC”, „Wola Ludu”). Inne oscylowały między 30 a 80 tysiącami. Ponad 50 tysięcy były „Wieczór Warszawski”, „Goniec Warszawski”, „Express Poranny”, „Kurier Czerwony”, „Dzień dobry”. Nie wiem, jakie nakłady miały „Dziennik Poranny” i „Dziennik Popularny”, ale chyba niezbyt wysokie. „Dziennik Powszechny” wyciągał z trudem 20 tysięcy i utrzymywał swój budżet dzięki dużym oszczędnościom. „Ostatnie Wiadomości” przez dłuższy czas przekraczały sto tysięcy egz.

Wreszcie trzecia grupa: dzienniki 5-groszowe. Pierwszą 5-groszówką był organ Narodowej Partii Robotniczej. Były to cztery stroniczki bardzo źle zadrukowane, niekiedy wprost nie do przeczytania. Usiłował pismo utrzymać Kwieciński, który z ramienia NPR prowadził drukarnię na Siennej. Nie znam stosunków własnościowych tej drukarni, ale być może Kwieciński miał tam jakieś udziały. Redakcja była prowadzona chyba zbyt oszczędnie, bo pismo nie budziło zainteresowania, aż wreszcie zostało zamknięte. Drugą 5-groszówką był „Mały Dziennik”, wydawany w Niepokalanowie przez zakonników. Do „Dziennika” zapewne z początku dokładali, ale mieli z czego: wydawanie „Rycerza Niepokalanej” w setkach tysięcy egzemplarzy musiało przynosić olbrzymi dochód. Toteż Niepokalanów miał doskonale urządzone zakłady drukarskie. Poza tym nie kosztowała praca: zecerami i dziennikarzami byli zakonnicy, którym się nie płaciło. Zrazu „Mały Dziennik” zatrudniał dziennikarzy, dopóki bractwom nie nabrali wprawy w pracy dziennikarskiej. „Dziennik”, starannie redagowany i równie starannie drukowany, przyciągnął 200 tysięcy

czytelników. Rozchodził się w całej Polsce, kolportowany przez proboszczów.

Trzecią z kolei 5-groszówką był „Kurier Codzienny 5-groszy”, który stworzyło trzech wspólników: właściciel drukarni na Okólniku W. Piekarniak, dziennikarz — Jerzy Szapiro, współpracownik „Robotnika” i korespondent warszawski „Daily Herald”, oraz eks-„majdaniarz”, który założył niewielką, ale znaną firmę kolportażową — Antoni Górecki; potem udziałowcem kolportażu był też H. Borsuk. Dla „Kuriera Codziennego 5-groszy” też pisywałem powieści odcinkowe. Pismo 5-groszowe, aby opłacić koszty wydawnicze łącznie z kosztownym kolportażem, musiało osiągnąć 100 tysięcy nakładu. Ogłoszenia były zyskiem dodatkowym.

„Ostatnie Wiadomości” wprowadziły losowanie premii wśród czytelników. Kalkulacja była prosta, a sprawa atrakcyjna. Każdy dodatkowy tysiąc czytelników kupujących dziennik to było co najmniej 50 zł czystego zysku dziennie, czyli w ciągu miesiąca 1400 zł. Liczyliśmy przyrost na 10 tysięcy — to znaczy na osiągnięcie 28 000 zł, z których połowę przeznaczaliśmy na kupno przedmiotów, jak motocykl, umeblowanie pokoju, warsztat rzemieślniczy, sprzęty, i na paręset „paczek szczęścia”, w których mieściły się: kakao, kawa, cukier, herbata, czekolada, wartości kilku, a nawet kilkunastu złotych. Premii w sumie było od paręset do 1000. W losowaniu brał udział każdy czytelnik, który nadesłał swój adres i kupony wypełniane w ciągu określonego czasu, które zamieszczaliśmy codziennie. Czytelników przybyło kilkadziesiąt tysięcy, toteż mogliśmy zwiększyć liczbę premii i ich wartość.

Nie interesowałem się zbyt blisko dochodami „Ostatnich Wiadomości”, ale ponoć w ciągu pierwszych dwóch lat dały one wydawcom milion złotych! Wszystko to utopili wydawcy w paryskim „Hajncie”, nie inwestując nic w rozwój pisma. Redakcja mieściła się ciągle w tych samych klitkach. To prawda, iż opłacała uczciwie wszystkich pracowników. O ile pamiętam, w redakcji najniższa pensja wynosiła 300 zł. Ja zarabiałem 1000 zł pensji poza wierszówką (za powieści, artykuły). Dyrektor Lehenbaum co parę miesięcy urozmaicał nam życie „impresami”, jak np. parogodzinne wycieczki pracowników redakcji i drukarni wynajętym statkiem po Wiśle, wystawnym przyjęciem dla wszystkich. Sądzę, że dyrektor robił to w porozumieniu z wydawcami!

Staraliśmy się pismo jak najbardziej zbliżyć do ludzi pracy. Przeprowadziliśmy kilka akcji, jak np. w obronie strajkujących na kolejce Marreckiej. Nasze artykuły pomogły strajkującym, jak również strajkującym w fabryce „Perkun”. Komitety strajkowe przysyłały nam delegacje z podziękowaniami.

Najbardziej upamiętniła mi się sprawa Żyrardowa. Francuski kapitał uprawiał tam nieprawdopodobny wyzysk. Poza wyzyskiem zarządzający

wprowadzali tam nieznośną atmosferę donosów i jak najgorszej rywalizacji. Postanowiliśmy zająć się panującymi tam stosunkami. Wysłałem któregoś z kolegów oraz sekretarza redakcji Zdzisława Wójtowicza. Zebrałiśmy materiał oburzający. Już przygotowywaliśmy go do druku, kiedy wrzód pękł: niejaki Blachowski zastrzelił dyrektora Koehlera. Działo się to w 1932 r. Blachowskiego aresztowano. Podaliśmy tę wiadomość, a jednocześnie naświetliliśmy stosunki, panujące w Zakładach.

Prasa, która zrazu podała informacje zaczerpnięte z policji, zapewne przez agencję Kwiatkowskiego, potraktowała zabójstwo jako akt zemsty osobistej, godnej potępienia. Nasze artykuły zmieniły nastrój w prasie. Coraz więcej gazet zaczęło naświetlać łajdactwa zarządu Boussaca. My także nie ustawaliśmy w akcji.

Pojechałem do Pawła Hulki-Laskowskiego, który mieszkał w Żyrardowie i swego czasu napisał książkę pt. *Mój Żyrardów*. Przeprowadziłem wywiad z Hulką-Laskowskim. Rzadko już wyruszał z Żyrardowa, cierpiąc na lęk przestrzeni. Poruszał się tylko wówczas, kiedy trzymał pod rękę swą córkę. Hulka-Laskowski od szeregu lat obserwował, co działo się w Zakładach. Przychodzili do niego robotnicy i robotnice ze skargami. Nie pamiętam dokładnie treści wywiadu, ale rzecz jasna — literat ten, demokrat i lewicowiec, potępiał kolonizatorskie metody zarządzania Zakładami.

Pewnego wieczoru, kiedy nasilenie kampanii antyboussacowskiej było z naszej strony dość gwałtowne, Zdzisław Wójtowicz zameldował mi, że chce ze mną rozmawiać dyrektor Waszkiewicz. Do gabinetu wszedł elegancko ubrany, przystojny mężczyzna. Przedstawił się jako jeden z dyrektorów Zakładów Żyrardowskich i okólnymi drogami wyjaśnił cel przybycia. Twierdził, iż rozumie, że zabójstwo to sensacja, a sensacją żyje prasa, ale co ma z tego redaktor? Zarząd gotów jest dać 10 tysięcy zł do mojej wyłącznej dyspozycji, opłacić miesiąc pobytu w luksusowych warunkach w Zakopanem, jeśli przerwiemy kampanię. Wysłuchałem do końca propozycji i oświadczyłem mu, że nie chodzi nam o sensację, tylko o przyzwoite traktowanie ludzi, bo to, co się działo i do tej pory dzieje się w Żyrardowie, doprowadziło do zabójstwa, że dziennikarz nie frymarczy sumieniem, wobec czego żegnam go. Nie podałem mu ręki i nie pozwoliłem na jakikolwiek dalszy ciąg rozmowy. Dyrektor wyszedł z rzadką miną.

Kampania trwała nadal. Zaczął mnie nachodzić dyrektor wydawnictwa Lebenbaum, usiłując mnie namówić do zaprzestania kampanii. Jackana nie było wówczas w Warszawie. Kategoriecznie odmówiłem jakichkolwiek rozmów na ten temat i kampania trwała prawie trzy lata! Przyczyniliśmy się m. in. do sekwestru Zakładów i wyrzucenia z nich francuskich wyzyskiwaczy. Nie robiliśmy ceregieli w określeniach łaj-

dactw, zwłaszcza już po wyroku na Blachowskiego, który otrzymał bardzo niski wymiar kary, bo cztery lata, za zabójstwo w afekcie.

Nie ograniczyliśmy się do Żyrardowa, wytaczając oskarżenia różnym kartelom i monopolom. Również i w innym dziale pt. „Okolice i przedmieścia Warszawy” walczyliśmy o poprawę warunków życia zaniedbanych dzielnic i miasteczek. Ale większość każdego numeru stanowiły sensacje i kryminały.

W miarę upływu lat — mimo nadmiaru sensacji i kryminału — coraz bardziej wprowadzaliśmy nutę społeczną do gazety. Walczyliśmy z kamienicznikami o moratorium mieszkaniowe, z „baronami węglowymi” o dolę górników, o strajkujących robotników w „Perkunie”, w „Parowozie”, w zakładach ceramicznych. Wprowadziliśmy cotygodniową stronicę „Ze święta pracy”; wiele tutaj pisał Zdzisław Wójtowicz. Nie pamiętam, kto piętnował fabrykantów, wyzyskujących włókniarzy w Łodzi; pod artykułami widnieją inicjały J. P.

„Ostatnie Wiadomości” zmieniły nieco skład redakcji. Kilku kolegów odeszło, kilku przyszło nowych. Na sekretarza redakcji zaangażowałem kolegę ze Szkoły Dziennikarskiej, który okazał mi w czasie studiów wiele życzliwości — Zdzisława Wójtowicza. Zaangażowałem również koleżankę ze Szkoły Eugenję Scheinównę (później Lewinową). W dalszym ciągu pracował Felek Rosenbaum. Był aplikantem adwokackim, pisał scenariusze filmowe pod pseudonimem „Napoleona Sądka”, współpracował z tygodnikiem „Wesołe Wiadomości”, który redagował jego brat Mieczysław i które zaczęliśmy wydawać obok „Wiadomości Kobiectych” i „Wiadomości Sportowych”. Robiliśmy też coraz więcej mutacji, tzn. sprzedawaliśmy do różnych miast gazety z wolnym miejscem na lokalny nagłówek i wolną stronicę na wiadomości miejscowe. Gromadziliśmy też stopniowo coraz lepszych autorów, a wśród nich znaleźli się: Włodzimierz Słobodnik, znany poeta (nie pamiętam jego pseudonimu), i Helena Boguszewska.

Pracował wiele Henryk Liński, pisząc recenzje teatralne, prowadząc dział „W cztery oczy”, od czasu do czasu — powieści (na zmianę ze mną), a później Liński — znakomity poliglota — dawał sprawozdania z życia oficjalnych sfer, wizyt i przyjęć. Był on również sprawozdawcą z operetek i baletu. Na balecie znał się wcale dobrze.

Następnie pracował Benedykt Heidenkorn jako sprawozdawca parlamentarny. Walczyłem zrazu z nim o to, by pisał swe sprawozdania stylem prostym, ponieważ będą je czytać ludzie niewykształceni. Był uparty, ale doszliśmy do jakichś wyników.

Dobrym nabytkiem dla redakcji był Stefan Magenheimer, stary dziennikarz, z wykształcenia historyk, o wspaniałej pamięci: był po prostu kopalnią anegdot historycznych, którymi sypał jak z rękawa. Pisywał artykuły okolicznościowe. Pracował też u nas przez pewien czas Stefan Kru-

kowski, brat znanego aktora estradowego „Lopka” — Kazimierza Krukowskiego. I ze Stefanem musiałem walczyć o prosty styl. Niełatwo było przełamać przyzwyczajenia dziennikarzy, mających z reguły i od dawna do czynienia z czytelnikami jako tako wykształconymi. Natomiast ogromną większość naszych czytelników stanowili ludzie, którzy umieli czytać i za ledwie jako tako pisać. Pisanie dla takich czytelników wymagało specjalnych umiejętności, jakie nabyłem w pismkach dla dzieci.

Jednocześnie praca w dzienniku wciągała do spraw politycznych. Co prawda nie mogliśmy się zbyt angażować, ale chociaż nie należałem do żadnej partii, sprzyjałem lewicy, co zresztą nakazywała popularność pisma.

Pracował dobrze Mietek Górka, którego styl pisarski wymagał coraz mniej korektury. „Robił” sport i kryminał, pisywał różne sensacyjne „kawałki”.

Na sprawozdawcę sądowego zaangażowałem Władysława Roguskiego. „Sąd” był w okresie międzywojennym ważnym działem. Od czasu do czasu „wybuchały” poważne sprawy kryminalne, jak Gorgonowej, obok wielkich procesów politycznych, jak Centrolewu, albo procesy o zabójstwo Hołówki, Pierackiego. Sprawozdania sądowe miały własną giełdę w klubie sprawozdawców sądowych. Ich zmowa decydowała, jakie sprawy mają iść do prasy. Ani rusz nie udawało mi się tego zmienić. Chciałem, aby w „Ostatnich Wiadomościach” zjawiały się również sprawy z dziedziny prawodawstwa pracy, coraz lepiej rozbudowującego się u nas, oraz sprawy wyzysku pracowników, sprawy mieszkaniowe. Kiedy się już bardzo upierałem, Władek przynosił jakieś króciutkie sprawozdanie sądowe. Nie udawało się „rozruszać” na naszych łamach sądownictwa społecznego. Nie udawało się też wydobyć elementów społecznych ze spraw kryminalnych, w sprawozdaniach panował bowiem nastrój pogoni za sensacją, wyciąganie przede wszystkim tego, co budzi „ludzkie zainteresowanie”, jak to określa się w prasie amerykańskiej.

Jednym z kolegów, który najlepiej chyba utrafił w styl przemawiający do prostego czytelnika, był „Napoleon Sądek” w swych jednoszpaltowych, humorystycznych felietonach, pisanych codziennie. To był z pewnością ciężki kawałek chleba! Ale Felek wywiązywał się z tego obowiązku znakomicie!

Redaktorzy techniczni byli raczej młodymi pomocnikami Wójtowicza. Często ja sam dawałem dyspozycje techniczne. Mieliśmy dobrego, chociaż wówczas młodego metrapaźa — Stanisława Skotaka. Drukarnia miała skrupulatnie i dobrze płaćącego klienta, zecerzy byli dobrze opłacani, starali się więc, by klient nie odszedł. A konkurencji w Warszawie nie brakowało mimo dużej liczby pism. „Tytularzem” był wysoki, młody chłopak, Tyszkiewicz. Mieliśmy znakomitych „maszynkowych”, jak Bance-

rowski, Tabiszewski. Świetnym maszynistą rotacyjnym był Rowiński. Ten miał też wiele pracy ze starą maszyną rotacyjną, aby „wybić” na tym gruchocie 100 tysięcy egz.! Maszyna „biła” zaledwie 8—10 tysięcy na godzinę i chyba miała tylko dwa agregaty.

Zecernia posiadała trzy czy cztery linotypy i niezbyt wielki zapas czcionek tytułowych. Redakcja nie miała przesadnych wymagań. Składało się petitem i garmondem. Układ był prosty — „firankowy”, czyli poziomo-kolankowy. Owe „firanki” były w modzie: pierwsze i ostatnie łamy wydłużone, trzy środkowe łamy układało się najczęściej blokowo. Format dziennika  $41,5 \times 28$  cm, układ pięciołamowy.

Nie zajmowałem się stroną finansową pisma. Wystarczyło to, że pismo szło doskonale, że tworzyło się coraz to nowe mutacje. Zazwyczaj wprowadzenie mutacji poprzedzała reklama wstępna pisma i jednocześnie wysyłało się dziennikarza, który zbierał informacje z danego terenu, omawiało się warunki współpracy z redakcją miejscową. Redakcja ta albo była opłacana przez Centralę, albo lokalny wydawca zakupywał określoną liczbę egzemplarzy (3 czy 5 tysięcy lub więcej) po omówionej cenie. Nie pamiętam tej ceny, ale w każdym razie pokrywała ona z nadwyżką kosztą papieru i druku. Umowa też określała, czy dochód z ogłoszeń albo tylko procent tego dochodu wpływa do kasy „Prasy Popularnej”. Umowy więc miały charakter różny i cena za egzemplarz była różna.

„Ostatnie Wiadomości” miały dwóch poważnych konkurentów: „Mały Dziennik” i łódzki „Express Ilustrowany”. Z „Małym Dziennikiem” nie było powodu walczyć: mieliśmy inne kręgi odbiorców, kupowali go ludzie mający bliskie kontakty z parafiami, szczególnie wieś, gdzie robiła swoje energiczna propaganda proboszczów.

„Express” łódzki był pismem o najniższym chyba poziomie w Polsce. Nie było w nim cienia nuty społecznej. Gonił wyłącznie za kryminalną i erotyczną sensacją. Drukował straszliwe „komiksy” z Patem i Patachoneń. Ponadto dawał szmirowate, pornograficzne powieści odcinkowe. Wszystko to było pisane „łódzkim” językiem prasowym. Chcieliśmy zmierzyć się z tym konkurentem na jego terenie — w Łodzi. Zorganizowaliśmy mutację łódzką. Do kolportażu administracja zaangażowała najlepszych „cwaniaków” — krzepkich majdaniarzy, bodajże od szefa Borsuka, który później został współnikiem Szapiry i Piekarniaka. Ale i wydawcy łódzcy czuwali! Była to zorganizowana mafia, której wydawcy warszawscy nie dopuszczali na rynek Warszawy, tak jak i oni nie chcieli nikogo wpuścić na rynek Łodzi.

Kiedy przyszły pociągiem paczki z gazetami warszawskimi, kolporterzy łódzcy stoczyli walkę z przybyłymi naszymi kolporterami. Walka ta trwała parę dni. Gazety w „tajemniczy sposób” ginęły na stacjach najbliższych Łodzi i odnajdowały się dopiero po paru godzinach. Kiedy

wreszcie doszło — jak mi mówił Lebenbaum — do rozprawy nożowej, wycofaliśmy kolporterów. Daliśmy za wygraną.

„Express Ilustrowany” (bardzo marnie ilustrowany!) zaczął dochodzić do 300 tysięcy nakładu. Rozchodził się prawie po całej Polsce, sięgnął nawet do dzielnic, które miały wyrobionych czytelników, jak Poznańskie i Pomorze. Przypadek podstawił nogę naszemu konkurentowi. Z okazji jakichś świąt, nie pamiętam już jakich, „Express” na pierwszej stronie zamieścił reprodukcję obrazu Matki Boskiej w aureoli z gwiazd... pięcioramiennych! Tego było potrzeba „Małemu Dziennikowi”! Podjął on kampanię pod hasłem: „Żydzi plugawią Matkę Boską insygniami komunistycznymi”. Z dnia na dzień nakład „Expressu” spadał na łeb na szyję. Groziła mu po prostu plajta. Ale żadna kampania nie może trwać wiecznie. „Express” utrzymał się przy kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy i z trudem zdobywał stare pozycje.

Po trzech latach zacząłem się orientować, że w naszej administracji dzieje się niedobrze. Pismo przynosiło olbrzymie dochody, które gdzieś znikwały. Nakład był w dalszym ciągu duży. Czytelnicy wyrabiali się. Nieznacznie podnosiliśmy poziom pisma. Ale szeroki gest, jaki wykazywaliśmy przy szafowaniu premiami, wyraźnie malał. Lebenbaum żądał zbierania kuponów przez trzy miesiące, co przeciągało strunę cierpliwości czytelników.

Zrazu upieraliśmy się przy „apolityczności” i kiedy powstawały wyborcze efemerydy, a niektóre pisma brały pieniądze za drukowanie BBWR-owskim numerów wyborczych, my stroniliśmy od popierania jakiegokolwiek stronnictwa. Przyszedł jednak moment, nie pamiętam, w którym to było roku, kiedy zmuszeni byliśmy zamieścić BBWR-owskie numerki. Nasłali nam komisję budowlaną. Ta ustawiła szklankę wody w mieszkaniu na I piętrze nad drukarnią i kazała uruchomić Rowińskiemu maszynę rotacyjną na pełne obroty. Dom był stary, porządnie zbudowany, ale jakieś stosunkowo niewielkie wibracje udzieliły się wodzie w szklance. Komisja orzekła, iż należy opieczetować drukarnię. Pertraktacje Lebenbauma odniosły skutek: za cenę wydrukowania prosanacyjnych numerków (nie pamiętam liczby) drukarnia nie została zamknięta i „Ostatnie Wiadomości” wychodziły bez przeszkód.

Z cenzurą żyliśmy w zgodzie: starszy pan Krüger, cenzor, telefonował do mnie, uprzedzając, że jeśli się ukaże taka lub inna wiadomość czy opinia, pismo ulegnie konfiskacie. Przeważnie chodziło o ochronę opinii wysokich dygnitarzy, którzy gdzieś rozbijali się w stanie nietrzeźwym, albo któryś dokonał malwersacji lub nadużycia władzy. Całe legendy krążyły po Warszawie o pijaństwach Wieniawy-Długoszowskiego, czarującego pijaka i romantyka. Krążyły liczne opowieści o różnych czynach pułkowników, np. Bogusława Miedzińskiego, o „dwójce”. Oczywiście o tym

nie wolno było pisać, chociaż ćwierkała na te tematy „cała Warszawa”, to znaczy co najmniej parę tysięcy osób. Można było jednak atakować policję za nadużycia czy bardzo potężnych malwersantów, a także kierowników monopoli państwowych, ba! nawet ministrów!

Jackana nie było w Warszawie. Z Goldbergiem nie miałem kontaktu, zresztą byłem przekonany, chyba słusznie, że tylko z Jackanem można było poważnie mówić na tematy wydawnicze. Finkelstein — właściciel kina — ulokował swego brata w administracji, który nie znał się wcale na sprawach wydawniczych. Zacząłem ostro nacierać na Lebenbauma, żądając rozwoju pisma, a tymczasem sytuacja stawała się z miesiąca na miesiąc coraz gorsza. Nakład zaczął spadać. Lebenbaum żądał oszczędności, jak to zwykle bywa — na wydatkach redakcyjnych; z reguły doprowadzało to do pogłębienia kryzysu i w końcu do upadku. Oma, córka Jackana, wtajemniczyła mnie w kulisy finansowe pism. Wydawcy nosili się z zamiarem sprzedaży pisma. Pertraktował o kupno drukarz czy zecer z Francji, Grünberg. Ja postanowiłem rozejrzeć się za inną pracą. Ale praca znalazła mnie wcześniej, zanim jeszcze powziąłem decyzję opuszczenia „Ostatnich Wiadomości”. Otrzymałem propozycję od Antoniego Lewandowskiego, dyrektora Domu Prasy, wydającego „czerwoniaki”, objęcia redakcji dziennika „Dzień dobry”.

Porozumiałem się z kolegami. Ustaliliśmy, że Zdzisław Wójtowicz obejmie stanowisko redaktora naczelnego i będzie figurował jako dyrektor. „Prasa Popularna” zamieniła się na „Prasową Spółkę Wydawniczą Sp. z o.o.”, a nabył ją za dość marne pieniądze Grünberg.